Famulus

Rok 1. Nr. 14

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI



30 GR.

Z redakcyjnego biurka

Nie szczędzą nam nasi Czytelnicy dobrych i życzliwych słów za nasze trudy i starania, by „Famulus" stawał się coraz bardziej interesującym i lepszym.

Wśród szeregu listów, jakie otrzymujemy, nie możemy nie podzielić się wyjątkami z listu, nadesłanego nam przez p. Edwarda G. Piotrowskiego, który w okresie Wojny Światowej piastował urząd referenta prasy i propagandy przy formacjach wojskowych polskich w Ameryce i na tem stanowisku rzetelnie się zasłużył Ojczyźnie. Dowcipny a tak miły list podajemy tem chętniej, iż pochodzi od człowieka, znającego się na prasie, którego pochlebne słowa sprawiły nam prawdziwą przyjemność:

Kochany Famulusie!

Odkąd zacząłeś u mnie bywać, stałeś się honorowym gościem w moim domu, bo sympatyczny z Ciebie twór ludzki. Zanim zacznę o Twych zaletach mówić, których imię legjon, muszę Ci wyznać całkiem szczerze i bez komplementu, że byłeś dla mnie rewelacyjną niespodzianką, gdym Cię przed kilku poznał dniami. Poznawszy Cię, żałować jeno muszę i winić się, żem dawniej Cię nie poznał.

Największym Twym skarbem, „Famulusie" drogi, żeś nie rozwlekły. W dzisiejszym wieku pary i elektryczności, krótkich sukien, krótkich małżeństw i jeszcze krótszych rozwodów ceni się i krótki artykuł. Tyś zrozumiał należycie, że opowieści pragniemy, ale nie za dozgonne życia towarzyszki.

Drugą poważną Twą zaletą, że do dusz naszych, peklowanych w occie niedawno zlikwidowanej niewoli pod szarym sosem romantyzmu z mdłą przyprawą mesjanizmu nie pompujesz tradycyjnej minorowej zaprawy. Ton Twój nie jest płaczliwy, co czyni Cię wyjątkiem u nas.

Bardzo też w Tobie cenię, „Famulusie" zacny, żeś nie pozer na cynika i dekadenta, żeś nie wolterjanin jakowyś albo zgoła farmazon, nie metafizyk od ezoteryzmów, mistycyzmów i innych henegawrońskich abderyzmów; słowem, żeś nie jest „pół psa, pół kozy, niedowiarek Boży", a tylko taki sobie „żywotem człowieka poczciwego" żyjący „Famulus", świadomie i celowo swe imię noszący, Pana Boga chwalący, a ludziom dobrej woli zrozumiały. Tak, mój „Famulusie", mamy bo już wyżej uszu jałowej psychoanalizy i babeczek z błota społecznego i politycznego.

Podobasz mi się, „Famulusie"-gawędziarzu, za krótkie, jędrne a wesołe podróże anegdotyczne po krainie dziejów; podróże, zachęcające turystę-czytelnika do dalszej po tej krainach włóczęgi lepiej może i skuteczniej, niż zachęciłaby niejedna żmudna a nudna monografja, niejedno wielotomowe dzieło historyczne i „mędrca szkiełko i oko".

Podoba mi się i szata Twoja świąteczna, polnym umajona kwiatem i polnemu kwiatu podobnie skromna i bezpretensjonalna.

Więc proszę Cię, „Famulusie" drogi, przyjąć serdeczne me życzenia jaknajbujniejszego rozkwitu oraz szczere pozdrowienia.

Edward G. Piotrowski
Warszawa



Dominikowi Pietrzyckiemu. Serdecznie dziękujemy za tak obowiązującą życzliwość dla „Famulusa". Jest Pan naszym prawdziwym przyjacielem nie w słowach, lecz w czynach. Polecamy się łaskawej pamięci dla nas.

K. Cib-skiemu. To nie poezja: „tumult, huk i zgiełk wzniecają, ławy, stoły wywracają", to wierszowana proza. Dla przykładu: „słońce świeci" — mówi każdy, zaś „słońce się śmieje" — mówi poeta, „gwiazda błyszczy" — mówi każdy, zaś „gwiazda mruga" — mówi poeta. Nie skorzystamy.

Stefanowi Dubielowi. Autorem rebusów w naszem piśmie jest p. Mossakowski.

Henrykowi Koleckiemu. Prenumerata „Godziny Czytania" wygasa po otrzymaniu 6 książek, raczy więc Szanowny Pan w ten sposób ustosunkować dopłatę.

M. A-wiczowi w Krakowie. Dziękujemy za życzenia. Przypuszczamy, iż Czytelnicy nasi konstatują, jak z każdym numerem staramy się udoskonalić nasze wydawnictwo. Z przysłanego materjału nie skorzystamy.

I. Reiterowi w Śniatynie. Bylibyśmy zobowiązani za wyraźniejsze sformułowanie zarzutów. Dodatek powieściowy nie będzie oddany do sprzedaży, wyłącznie będąc przeznaczonym dla naszych Prenumeratorów. Polecić możemy „Kino dla wszystkich", które dostać można prawdopodobnie w kioskach „Ruchu".

W. Lubnauerowi w Zgierzu. Materjał, nadsyłany przez Czytelników, w większości wypadków nie bywa starannie wykonany. Prosimy o próbę.

„Szaradziście". Przyjmiemy, o ile wykonanie będzie poprawne.

J. Krajtlowi w Płocku. Nie byliśmy w stanie wcześniej odpowiedzieć, by przedewszystkiem podziękować za miłe słowa zachęty i obietnicę poparcia wśród grona znajomych, wielce ceniąc sobie ten właśnie sposób propagandy. Uwagi przyjęliśmy do wiadomości, proponowany plan jednak wymaga szerszego rozwoju pisma. Nie wątpimy, że wkrótce przyjdzie czas, gdy będziemy mogli wydawać podobne dodatki.

Opłata pocztowa ryczałtem 15—25 maja 1927 r. Cena 30 gr.

FAMULUS
Ilustrowany
Tygodnik Polski

W każdej rodzinie polskiej był swój „famulus", domownik i przyjaciel, który opowiadał serdecznie różne historje o życiu i jego wydarzeniach.

Fr. Morawski

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 14.

Kartki z raptularza

STALOWE HEŁMY GROŻĄ... Tym razem już nie zwykłe alarmy wiosenne, lecz groźny poryk prusactwa, skierowany ku Polsce.

„Stahlhelm", buńczucznie, jak za czasów Wilhelma, pobrzękuje orężem i domaga się rewizji granic naszych. Powalona bestja, która tak długo i okropnie dręczyła żywe ciało rozdartej ziemi polskiej, znowu, jak sturamienny polip, wyciąga wydłużone macki. Złodziej sięga po łup, który sama Opatrzność wytrąciła ciemięzcom z zachłannych rąk, piętnując popełnioną zbrodnię.

Baczność! Uwaga!

To nie zwykłe okrzyki wezbranego temperamentu, to hasła zemsty i odwetu, któremi, jak powietrzem, dyszy cały niemiecki naród. Głęboko utajone w piersi każdego Niemca, wydzierają się mimowolnie tak, jak ogień, który wybucha i rozsadza krępującą go powłokę.

Nienawidzą nas, nienawidzą tem namiętniej, że widzą, jaka wzmaga się i krzepnie nasz naród w słońcu wolności. Boli ich to, drażni, więc syczą...

— Gwałt niech się gwałtem odciska, a ze słabością uczmy się łamać za młodu! — wołał do nas wielki nasz wieszcz Mickiewicz.

Tak! To wróżebna wskazówka, to mądrość na dziś...

Gwałt, o ileby nastąpił ze strony buntującego się przeciw prawom boskim i ludzkim prusactwa, gwałtem również odcisnąć możemy. I my posiadamy „swoje" stalowe hełmy, nie śpiewające nikomu pieśni nienawiści, ale czujne i pewne, które żelaznem ramieniem swojem potrafią opasać każdą piędź ojczystej ziemi.

Ale tego mało...

Ze słabością uczmy się łamać za młodu. Młoda, bo niedawno odrodzona państwowość nasza ma tu wiele do zrobienia. Nie rozluźnianiem fundamentów przez waśnie i targi wewnętrzne, przez porachunki partyjne i forytowanie miernot, lecz harmonijnem zespoleniem wszelkich talentów i dobrej woli umocni się, wyrośnie i spotężnieje.



ŚWIĘTA PUŁKOWE... Kto nie był żołnierzem i nie należał do żadnej rodziny pułkowej, ten nie wie, co to jest święto pułkowe...

Wielka to uroczystość.

Za serce chwyta każdego z uczestników, a żołnierz, ten szary i zwykły szeregowy, pamięta ją przez całe życie i, wróciwszy po latach służby w ojcowe progi, ze czcią i nabożeństwem wspomina te chwile, które przeżywał dnia onego.

I wierzy w to święcie i mocno, że jego pułk jest najświetniejszy (niech się schowają inne!) i że jego broń jest początkiem i końcem wszechrzeczy (co tam mówić ułanowi o piechocie?!).

I szczyci się i raduje się, że do tego właśnie pułku należy i do tej właśnie broni.

A dobrze się dzieje, gdy tak jest, boć przecież o to chodzi, by każdy żołnierz czuł się członkiem swojej rodziny pułkowej przez całe życie, posiadał jej ambit i honor, a do tego pokochał swój rodzaj broni czy służby, wywyższając go nad inne.

Takie uczucia i takie poglądy budzą w prostej duszy żołnierskiej tradycyjne obchody świąt pułkowych.

Czy możecie bowiem odczuć i zrozumieć tę uroczystą chwilę, kiedy odbywa się apel i oto zabrzmi:

— Szeregowy...

A szeregowy nie melduje się. Za niego odpowiada inny:

— Poległ na polu chwały...

Są pułki, gdzie takich odpowiedzi wiele, bardzo wiele...

Pęcznieje chwałą serce żołnierskie i dumne jest ze swego pułku i ze swojej broni.

* *

Święto pułku ułanów wileńskich, które odbyło się niedawno i które przedstawiamy w ilustracjach bieżącego numeru, stało się potwierdzeniem i umocnieniem cnoty żołnierskiej która oby na kamieniu rodziła się w Polsce!

Famulus.

Z mojej karjery... Wywiad XV

Gilbert Keith Chesterton

„Famulus" z wizytą u znakomitego gościa i przyjaciela Polski



GILBERT KEITH CHESTERTON

bawiący obecnie w Polsce pisarz angielski, znakomity autor dzieł: „Jasnowidzenie ojca Brown", „Napoleon z Notting Hill", „Człowiek, który chciał być Czwartkiem", „Król anarchistów", „Kula i Krzyż", „Żywot św. Franciszka z Assyżu" i wielu innych. Około roku 1900 wydał tomik poezyj z własnemi ilustracjami p. t. „Siwobrodzi się bawią". Napisał mnóstwo artykułów, które zapoczątkował w „The New Whitness". Frederic Lefevre w cyklu swoich wywiadów ze znakomitościami literackiemi tak pisze o Chestertonie: „Jego szczerość, prostota i odwaga przekonań uczyniły go popularnym. Budzi zaufanie nawet u przeciwników, ponieważ powszechnie jest wiadomo, że jest uczciwy i dąży zawsze do ostatecznego celu swoich myśli".

Wielki przyjaciel Polaków, znakomity powieściopisarz angielski, Gilbert Keith Chesterton, jak każdy zresztą odwiedzający Polskę literat, ma tak dokładnie rozliczony i rozłożony czas, że trudno jest z rozkładu jego pobytu w Warszawie wyrwać choćby tylko kwadransik.

Sekretarka Chestertona, wodząc ołówkiem po rozkładzie dni, sporządzonym przez P. E. N. Club, znajduje wreszcie między odwiedzinami u Prezydenta a przyjęciem u Fukiera wolną chwilkę.

Ołówek zatrzymuje się przez pewien czas.

— Pan Chesterton ma pół godziny wolnej między godziną 3 i pół a 4, czy ta godzina dogadza panu?

— Naturalnie, musi... Well!

Trzecia za 5 minut jestem w poczekalni Hotelu Europejskiego.

Wypada przecież być punktualnym wobec przedstawiciela narodu, którego jedną z zasad jest „time is money" — „czas to pieniądz".

Ktoś mnie jednak uprzedził. Jakaś pani jest u autora „Króla anarchistów". Wizyta ta jednak prędko się kończy, i po chwili p. Chesterton, śmiejąc się, odpowiada na moje pytanie:

— Pyta się pan o jakiś ciekawszy epizod z mojej karjery, dobrze, powiem panu — jest nim mój przyjazd do Warszawy i pobyt w Polsce...

— O panie...!

— Wogóle przez cały ciąg mojego życia — mówi dalej Chesterton — miałem tyle różnych ciekawych epizodów, że trudno mi jest przypomnieć sobie i wybrać jakiś ciekawszy. Zawsze życie miałem wypełnione interesującemi okresami. Nie zaznałem nigdy monotonności wrażeń.

— Proszę, wobec tego opowiedzieć mi coś o początkach swojej pracy literackiej.

— Gdy byłem studentem Szkoły Sztuk Pięknych w Londynie, uczyłem się malować. Przyszło mi wtedy na myśl napisać coś o malarstwie. Pędzel zamieniłem na pióro i nie powiem, żeby z trudem, napisałem wówczas kilka charakterystyk, traktujących o malarzach, i kilka krytyk ich dzieł.

Te moje prace literackie wykazały, że bardziej pojętny jestem do literatury, niż do malarstwa...

— A o jakich malarzach zaczął pan pisać, o Reynoldsie, Gainsbourough?

— Zacząłem pisać nie o malarzach angielskich. O ile sobie przypominam, pierwszą rozprawę napisałem o Velasquezie. Następnie napisałem coś, ale już nie o malarstwie. Była to groteska pod tytułem „Obrońca".

Praca, która mi uczyniła jaką taką reklamę była „Twelve Types", czyli „12 charakterystyk królów angielskich".

— Jakie pan dzieło swoje stawia na pierwszem miejscu?

— „Ortodoksję".

— Na zakończenie, co pan może powiedzieć o Polsce?

— Jak zdążyłem się przekonać, Polska jest krajem katolickim i dlatego ją kocham.

M. Godlewski.

W serji wywiadów p. t. „Z mojej karjery" dotąd kolejno głos zabrali: Wacław Sieroszewski, Zygmunt Bartkiewicz, Zofja Nałkowska, Andrzej Strug, Zuzanna Rabska, Gustaw Danilowski, Marja Rodziewiczówna, Stanisław Przybyszewski, Wacław Grubiński, Aleksander Świętochowski, Karin Michaelis, Juljan A. Święcicki, Aleksander Kraushar i Maciej Wierzbiński.

Precz z ciemnotą! Na pohybel!

Stolica Rzeczypospolitej ubiegłej niedzieli była świadkiem oryginalnego korowodu, który przesunął jej ulicami.

Odbyła się egzekucja ciemnoty, tej potwornej kumy, która, jak pies wierny, wlecze się za nami, odziedziczona w spadku po latach długiej niewoli.



Olbrzymia wieża z napisem „śmierć ciemnocie" stanowiła ośrodek tłumnego pochodu.

Tę tragikomiczną uroczystość zorganizował specjalny komitet walki z upadkiem czytelnictwa i ciemnotą, jaka stąd płynie, stwarzając Ciemnogród z przodującej ongi w dziedzinie oświecenia i kultury Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

A więc aż do tego uciekać się musimy, by w zacofane mózgi wbić potrzebę oświaty i czytania i stworzyć kult dla książki, która chyba conajmniej posiada te same prawa i przywileje, co boiska dla... kopania piłki nożnej lub pięściarstwa. uprawianego coraz powszechniej w Polsce?

Niestety, tak jest!

Smutne to i tragiczne, lecz radosne i wesołe zarazem, że oto znaleźli się wreszcie ci, co nie słowem, lecz czynem dowiedli, iż są pełni troski o mózg szerokich warstw społeczeństwa, dla którego w latach różnego rodzaju bałamuctw politycznych oświata jest jedynym środkiem dla osiągnięcia równowagi duchowej i zrozumienia obowiązków i cnót obywatelskich.



Zabawne kukły dźwigały napisy, nawołując do czytania dobrych pism książek.

Pochód, wyobrażający egzekucję ciemnoty, wypadł znakomicie, gromadząc tłumy, które aż powstrzymały ruch uliczny na tych arterjach, któremi zdążał.

Jeżeli tego rodzaju obrazowa propaganda dotrze do każdego zakątu kraju, zadanie będzie spełnione szeroko i napewno z wielkim pożytkiem dla jednej z najistotniejszych spraw odrodzonego życia w niepodległej Polsce.

Precz z ciemnotą! Na pohybel!



Uosobienie ciemnoty miało wygląd, zaiste, odrażający i groźny.

Pismo, które się podoba, winno być przyjacielem, popieranym zawsze i wszędzie.

Jeżeli ci się podoba „Famulus" i jesteś jego przyjacielem jednaj mu nowych abonentów.

(Z nieogłoszonych materjałów)

Z dziejów martyrologji polskiej r. 1863

XI

Michał Ciundziewicki

Za kilka godzin rozstanę się z tym światem, moi najukochańsi! Smutno mi, ciężko was porzucać, kochałem was nad wyraz; nie wątpię, że wszyscy bez wyjątku takież uczucie mieliście dla mnie. Dlatego też będzie wam bolesna wiadomość o mojej śmierci. Nie płaczcie jednak, ja idę śmiało na śmierć, a ożywia mię myśl, że za chwil kilka połączę się z naszemi najukochańszemi Ojcem i Matką. Czyż ta myśl nie jest w stanie dodać odwagi? Bądźcie szczęśliwsi na tym świecie odemnie, bądźcie tak szczęśliwi, jak na to zasługujecie wszyscy. Dziękuję wam za waszą przyjaźń i miłość, którą mi zawsze okazywaliście, niech wam Bóg za to błogosławi, ja Go o to zawsze prosić będę i duchem żyć będę z wami.

Stryju kochany! Żegnam Cię. Twoim świętym modlitwom duszę moją polecam. Niech Bóg Ci daje życie najdłuższe, potrzebne ono dla naszej biednej rodziny. Przebacz mi, jeżeli kiedy przez Tobą przewiniłem, ale bądź przekonany, mój Stryju, że Ciebie, jak Ojca, zawsze kochałem.

Moi bracia kochani, opiekujcie się zawsze siostrami naszemi młodszemi. Mnie nie będzie, stracą jedną osobę, która się zawsze dla nich poświęcić gotową była, nie wątpię, że wy powiększycie waszą troskliwość, aby strata, którą poniosą, nie tak im się uczuć dała. Co do mego funduszu, to wiecie, że ja od was wszystko wybrałem, a zatem przy podziale moją część rozdzielicie według tego, co komu winienem. Wiecie o moich prywatnych długach, proszę Was wypłacić je najakuratniej. Jeżeli mój lokaj Sawelij Semeniuk jeszcze w Willanowie dajcie mu 25 rs., jeżeli zaś już wysłany, to wyszlijcie mu tam, gdzie się znajduje. Dziękuję mu, służył mi wiernie i był bardzo do mnie przywiązany. Mamkę moją Morę miejcie w opiece. Z rzeczy moich niech Ewelinka przyjmie na pamiątkę zegarek, który jej przez księdza Walickiego wręczonym będzie. Noś go zawsze z tą samą skórzaną tasiemką, na której ja go nosiłem. Emilkowi mój dywan, co nad łóżkiem wisi. Resztę sami rozbierzcie, każdy cokolwiek na pamiątkę. Żegnam wszystkich moich krewnych, zawsze mi oni okazywali wiele przyjaźni i życzliwości, ja ich wszystkich szczerze kochałem. Żegnam wujów, Seweryna i Stanisława (Bohdanowiczów) i w myśli ściskam kochane moje wujenki. Żegnam całą familję Matki mojej. Sądzę, że można byłoby nie mówić Babuni naszej kochanej o mojej śmierci, ale, jeżeli to jest niemożebnem, powiedźcie jej, że proszę, aby się za mnie modliła i że porzucam świat ten, pełen wiary i ufności w Bogu i zupełnie przekonany, że tam się z Matką moją spotkam. Żegnam was, moje kochane ciotki: Madzio, Amelko, Walerko i Jadwigo, w myśli was wszystkie ściskam, a także pana Felixa, Władysława i Piotra, moich wujów kochanych, i Teresię, Climpkę i Wincesia (Choroszewskich). Zasyłam moje ostatnie pozdrowienie i żegnam was, kochani wujowie Tyszkiewiczowie, i moje drogie wujenki i ciebie, Oskarze, Witoldzie i Olgierdzie. Kochałem wasze rodziny, jak swoją własną. Żegnam Alfredów. Czas, spędzony w ich domu, i zawsze serdeczne przyjęcie Alfreda i Elizy nigdy mnie z pamięci nie wychodziły. Żegnam Ungiernów, Staniszewskich, Adamowiczów, Eustaszka serdecznie ściskam. Żegnam całą familję Ojca mojego. Żegnam wszystkich moich sąsiadów, w szczególności zaś p.p. Kukiewiczów, Korsaków, Rawów, Świdów, wszystkich Mokiejewskich. Jeżeli będziecie mieć zręczność, poznajcie się z którykolwiek z moich braci z domem p.p. Konstantych Ciechanowieckich i Józefów Jelskich, w tych dwóch domach byłem, jak brat, przyjmowany i miałem dla nich prawdziwą przyjaźń.

Bądź zdrową, Celino i Józefie Borzęccy.

Teraz jeszcze raz was żegnam, kochany stryju, bracia i siostry, ściskam was w myśli tak serdecznie, jak tylko można.

Moi najdrożsi, Olesiu, Eużenku, Emilku, Wiktorze, Zosiu i Józio, Marylko, Rózio, Izabello, Zosio Alino, Olimpko, Ewelinko, Klementynko i Zośko, niech was Bóg ma w swojej opiece i od wszelkich zmartwień was strzeże. Żegnam was i ściskam kochani szwagrowie, Michale, Ottonie, Gwidonie, Ignacy,



MICHAŁ CIUNDZIEWICKI

syn Melchjora i Olimpji z Bohdanowiczów Ciundziewickich urodził się w roku 1840 w majątku Wilanowie powiatu Borysowskiego ziemi Mińskiej. Kształcił się w Akademji Wojennej w Petersburgu i, będąc już oficerem generalnego sztabu, wstąpił w szeregi powstańców. Wydany przez włościan, iż namawiał ich w miasteczku Ziembinie powiatu Borysowskiego do powstania i uczył przyrządzania kos Kościuszkowskich, został przez generał-gubernatora wileńskiego Nazimowa zdegradowany na szeregowca z zesłaniem na dalszą służbę wojskową na Kaukaz. Z powodu podanej petycji sprawę nakazano rozpatrzeć powtórnie. W tym czasie zmieniono Nazimowa na Murawiewa, któremu tę sprawę przedstawiono, jako pierwszą, ten zaś bez namysłu kazał Ciundziewickiego rozstrzelać. Egzekucję spełniono w Mińsku 20 maja 1863 roku w obecności jego wuja Seweryna Bohdanowicza, który był też świadkiem ostatnich chwil Ciundziewickiego w więzieniu. Gdy skazanemu oznajmiano wyrok śmierci, zbladł trochę, zapalił papierosa i począł pisać przedśmiertny do rodziny list, którego odpis podajemy.

Popieranie i rozpowszechnianie pism i książek o zdrowej i wartościowej treści jest najlepszym środkiem na zwalczanie demoralizacji i upadku obyczajów.

Juljanie i ciebie, kochany Adasiu— zrób Olimpkę szczęśliwą. Nie widziałem po ślubie mojej bratowej, rozstaję się z tym światem w przekonaniu, że będzie dobrą żoną, godną Olesia. Jeszcze raz bądźcie zdrowi, za chwilę za was będę Boga prosił.

Michał Ciundziewicki.

P. S. Dwie książki Prudon'a u mnie znajdują się, należą do Sawicza. Odeszlijcie mu je do Petersburga do Wojennej Akademji i powiedźcie mu, że do grobu jego kochałem, równie jak i Trockiego — to są moi prawdziwi przyjaciele, którzy mnie szczerze kochali. Możecie im przesłać tę przypiskę, obaj po polsku czytają.

Michał Ciundziewicki.

Dziękuję p.p. Prószyńskim, którzy byli tak dla mnie troskliwi podczas mojego więzienia, a takoż p. Montegrandowej. Żegnam tych państwa.

Rzeczy moje, w więzieniu pozostałe, są:

Płaszcz, surdut, bielizna, wogóle sztuk ze 30, poduszka skórzana, dywan, kołdra, koszula szerścienna, lusterko okrągłe z warszawskiego srebra, szczoteczki do zębów i szklanka, spodek i łyżeczka, używane przezemnie przez czas mojego więzienia, i kożuch.

Michał Ciundziewicki.

20 maja 1863 r.
w więzieniu w Mińsku



Wiosna w całym rozkwicie. Po ulicach snują się spacerowicze. Panie zrzuciły zimowe stroje, przy których nawet, urągając temperaturze, starsze czy młodsze, nóżki pokazywały, stosując się do nakazu mody.

Inne stroje pamiętamy przed kilkunastu laty gdy okazanie rąbka pysznie szumiących falbanami „dessous", a z pod nich wyłaniająca się nóżka, temat dyktowało, powiedzmy, takiemu Reznickowi, autorowi wiedeńskich „pikantnych" rysunków.

Jakże archaicznie dziś brzmią słowa Adama Jarzębskiego (vel Jarzemskiego), „muzyka J. K. M. i budowniczego ujazdowskiego", który w swoim „gościńcu" taki nam maluje obraz ówczesnych strojów:

Jedna chodzi, jak łąteczka
Ani ma i dzieciąteczka.
Druga białe, sznurowane
Ma buciki bramowane;
Trzecia nosi pludereczki,
Ochraniając koszuleczki
A pończoszki u niej złotem
Haftowane, wiedzże o tem.
Kiedy idzie przez ulicę
Trzyma rękami spódnicę,
Żebyś widział niższe rzeczy...

*

Był czas, gdy nie znano ani hucznie warczących motorów, ani kina, ani radja... cocktail'i i dancing'ów, gdy artyści, nurzając się w romantyzmie, szczycili się „cygańskością" manier, gdy naiwna poza była niezbędną atmosferą, którą się otaczali. Cyganerja zdobywała się na najbardziej cudaczne pomysły, szafując niemi nawet wtedy, gdy głód, chłód i choroba na skrzypiącym pegazie w oczy zaglądała wynędzniałym w ubogich „kawalerkach" mistrzom.

Rozrzewniające te obrazki przekazane nam zostały w licznych anegdotach, żałosnych często arlekinadach, drapiących się w togę muzy i... pozy artystów.

Takim był zresztą znany szerokiemu ogółowi Seweryn Filleborn, zawzięty poeta i... zamiłowany alkoholik.

Gdy pewnego razu Wacław Szymanowski, zaniepokojony dłuższem niewidzeniem Filleborna, przyszedł go odwiedzić, znalazł go siedzącego wśród mozolnie nagromadzonego w pokoju igliwia (miał to być las), na łożu z suchych liści, ułożonych na rozsypanym po podłodze piasku.



— Bój się Boga, człowieku, — zawołał zdumiony Szymanowski — co to ma znaczyć ta komedja?

— To nie komedja — odrzecze niezwykle jakoś zarumieniony Filleborn.— Leczę się na suchoty. Kazano mi siedzieć w lesie, ot masz i las. Z wodą tylko trudniej, bo jak tu ją sprowadzić na piętro. To też zamiast wody, mam wódkę, to chyba wystarcza.

*

Przysłowia są mądrością narodów, mówią pospolicie, wśród nich jednak mnóstwo zachowało się takich, które są tylko konceptami, złośliwie przeciw popularnym i mniej znanym osobom zmyślonemi, inne znów odnoszą się do charakterystyki różnych miejscowości, a są i takie, co zgoła żadnego sensu nie mają.

Takiemi były znane ongiś na Wołyniu: **„dobra, jak oczy u starego Bobra" i „zowie się Bobr, ma przydomek Wydra"**, powiedzenia, odnoszące się do starego pieniacza Bobra, dziedzica na Zahajcach, powszechnie znienawidzonego swarliwego sąsiada, który na kilka dni przed śmiercią zachorował na kataraktę i oślepł.

Inne rubaszne powiedzenie odnosiło się do starej wymarłej oddawna rodziny Denisków, blisko stojących dworu i wiernie mu wysługujących się od pacholęcego wieku, gdy jeszcze, jako paziowie, za damami tren, robronem lub ogonem zwany, nosili.

Brzmiało to w następujący sposób:

Stary Denisko,
Dobre panisko:
Królowej Bonie
Dłubie w ogonie.

Inne znów, żakowski przycinek do obżarstwa trzech braci Czapskich, studiosów konwiktu Pijarów na Żoliborzu, na długo przywarło do nazwiska Czapskich.

Niezbyt wykwintnie w formie, śmiesznie jest sformułowane:

Panie Boże wszechmogący
Dałeś Czapskim ser gorący,
Ani łyżki, ani miski,
Poparzyli sobie pyski.

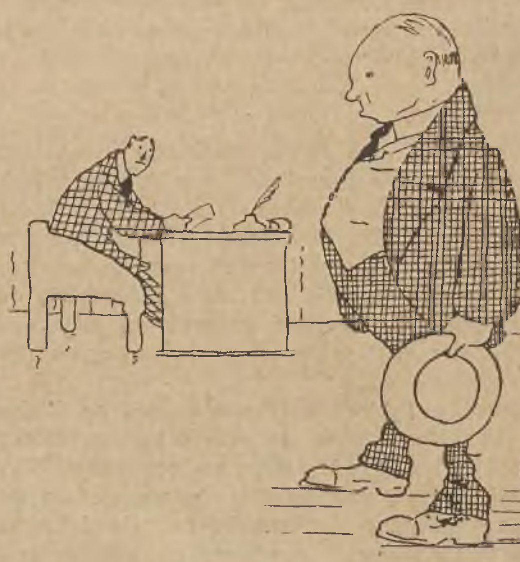
PIOTR MAC ORLAN *(Tłom. J. K.)*

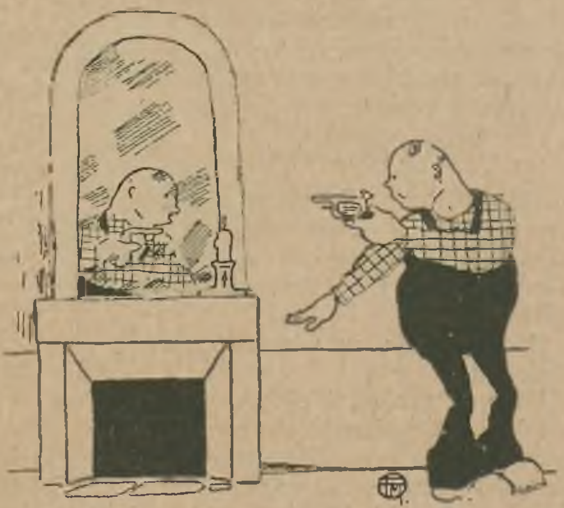
Tajemnicza sprawa na ulicy Pig-Street

Siedziałem przy biurku w sławnej ajencji Scotland Yard, gdzie jestem, jak wiadomo, głównym detektywem, gdy wszedł policjant, prowadząc z sobą jakieś indywidum w średnim wieku, okrągłe i pucołowate, ubrane dość wytwornie.

— Panie — zawołał człowiek ten na mój widok — padłem ofiarą straszliwego morderstwa. Jakaś kanalja wystrzeliła do mnie o dwa kroki pięciokrotnie z rewolweru.

Poczem osunął się na krzesło i zasnął głębokim snem.





Niewątpliwie miałem do czynienia z ohydną tajemniczą zbrodnią.

Udałem się niezwłocznie na miejsce przestępstwa. W mieszkaniu wszystko było w porządku, co dało mi możność zebrania danych, mogących mnie naprowadzić na ślad mordercy (drzwi wejściowe były tak wąskie, że odrazu nabrałem pewności, że dwóch ludzi jednocześnie przejść przez nie nie mogło).

Zapisałem nazwisko ofiary: Tomasz Popleed.

Był to buchalter z zawodu, widocznie bibosz, ale czysty i staranny. Dowiedziałem się, że żył w samotności, mając, jako jedynego towarzysza, ukochane zwierzę domowe: wielkiego ślimaka, mieszkającego w klatce dla kanarków na grubej warstwie soli kuchennej.

Dzięki mym spostrzeżeniom, a głównie dzięki talentowi, który przyświeca mi tam, gdzie inni gubią się w ciemnościach — byłem pewny, że już trzymam winowajcę.

Po powrocie do biura pierwszą moją czynnością było aresztowanie Tomasza Popleeda, który bronił się, wyjąc w niebogłosy, był bowiem człowiekiem z przyzwoitej rodziny.

Niewzruszony, rozpocząłem badanie tego, którego miałem za mordercę.

Ofiara, t. j. Tomasz Popleed, nie cofał swej skargi, czyniąc to zresztą w sposób wysoce arogancki. Gdy mu oznajmiłem, że znam zbrodniarza, klepnął się wesoło po udach, wykrzykując:

— Ho, ho!

Patrząc mu w oczy przenikliwie, zawołałem grzmiącym głosem:

— Tomaszu Popleed, wznosi pan



skargę o zabójstwo? Otóż zabójcą tym jest... pan!

Tomasz Popleed, usłyszawszy te słowa, zbladł, jak trup, i zasnął nanowo.

Nazajutrz złożył zeznanie. Oto, co miało miejsce. Tomasz poprzysiągł sobie, że nie puści na pijatyki pieniędzy, zebranych na czarną godzinę. Pamiętnego owego wieczoru umierał z pragnienia, a kieszenie miał puste, nie chcąc więc złamać danego słowa, wolał raczej unurzać ręce w przelanej przez siebie krwi.

Działał z całkowitym rozmysłem: postanowił uprzednio się zamordować, by później się ograbić i wydać już bez skrupułów swoje oszczędności.

Kupił rewolwer i czatował na odpowiednią chwilę dla wykonania swego straszliwego czynu. Spojrzał właśnie w lustro, uznał to za wspaniałą okazję i... wycelował. Tomasz Popleed krzyknął przeraźliwie i lustro rozprysło się na tysiączne kawałki.

Dalszy przebieg wypadków jest nam wiadomy.

Tomasz Popleed został skazany z uwzględnieniem okoliczności łagodzących za popełnienie morderstwa na swojej osobie na wpłacenie do własnej kieszeni 25.000 funtów sterlingów, co pozwoliło mu ze spokojnem sumieniem pić i hulać aż do wyczerpania tego funduszu.

Święto 13-go pułku ułanów wileńskich



Defilada 13 pułku ułanów wileńskich: *) dowódca pułku pułk. Aleksander Kunicki, **) zastępca dowódcy mjr. Gustaw Zawadzki.



Goście: *) gen. Mokrzecki, **) gen. Popowicz, ***) prezydent m. Wilna p. Bańkowski. ****) burmistrz Nowowilejki p. Ostromęcki.



Msza polowa, podczas której zostało wygłoszone podniosłe kazanie. Wysłuchano jej w skupieniu, kierując myśl ku poległym.



Ułani wileńscy przygotowują pułkowy obiad w świetlicy żołnierskiej. Schludnie, czysto i uroczyście, jak przystało na doroczne święto pułkowe.



Doręczenie oznaki pułkowej opiekunce wileńskich ułanów p. Elżbiecie Mikulicz-Radeckiej

MARJA JÓZEFINA ŁUBIEŃSKA

Bąk z rąk do rąk...

Wielki, wielki był targ dnia tego. Rozbłysło Tokio wielobarwnemi gwiazdami papierowych kul i kuleczek, tańczących na wiotkich drążkach z bambusu.

Kramarze śpiewnie zachwalali przeróżne pieścidełka i błyskotki.

A czego tam nie było?

Fraszki-fatałaszki, szkiełka, giezełka, śpiewne świerszcze, skoczki polne-swawolne w klatkach, rycerzykowie - kukiełki, stare drzewka-karzełki, baloniki, rogaliki, kwiaty wonne, owoce soczyste, fleciki, piszczałeczki, żaby-skrzeczki... i tyle, tyle wzrok i smak cieszących różności, że ktożby to wszystko opisać zdołał, a cóż dopiero mógł kupić?

Wśród zabawek jedna była bardziej, niż inne, śliczna i przynętna. Otoczyła ją nawet czeredka dziewcząt, które, trzepocąc na wietrze (wiatr dął dosyć mocny) rękawami „kimon", jak motyle nad grządką kwietną, wzroku od cudu-cudów oderwać nie mogły.

Był to duży BĄK z nieprzezroczystego kryształu (czy też szkła), który, puszczony, bzykał, jak szerszeń, beczał, jak baranek i, jak słowik, wygwizdywał. A dziełem był przedniej szlifierskiej roboty.

Na szczycie krężnego bawidełka tego, na modrobławem tle, widniał złoty napis:

KTO MNIE STŁUCZE,
TEN MNIE STRACI,
KTO OTWORZY,
SIĘ WZBOGACI...

A że spojenia żadnego na gładkiej powierzchni nie było, wszyscy, począwszy od właściciela kramu a skończywszy na kupujących, łamali sobie głowy (i nosy)... co też to może być? A choć nikt znaczenia dziwnego napisu nie mógł pojąć, domyślano się, że kryje on jakąś tajemnicę, którą bardziej oczywistą jeszcze czyniła bajecznie wygórowana cena tej świstgwizdnej, bzykliwej zabawki.

* * *

...Przed uroczo oświetlony sklep zajechała „kuruma", czyli mały, dwukołowy, do roweru podobny wózek, ciągniony przez drobno i prędko biegnącego człowieczynę w obcisłych białych spodniach i grzybokształtnym kapeluszu. W kurumie siedział niedbale rozparty, w czarne jedwabne kimono odziany bogacz, znany w okolicy. Uderzony zbiegowiskiem kazał stanąć.

— Owszem, ciekawe — rzekł, oglądając bąka — ale skąd ta szalona cena?

— Już teraz, wielmożny panie, na świecie takich czarodziejskich bąków niemasz. Jest to ostatni z odziedziczonych po moim praprapradziadku, który otrzymał kilka takich kryształowych krętonóżków od starego potężnego wróża. Jest on bezcenny.

Bogacz wyjął z za pasa „obi" trzos, zapłacił i w oczach zdumionej gawiedzi wziął „wróżbną", zwinną kryształową kulę.

— Tylko niech wielebny synek jego dostojności uważa i nie stłucze rzadkiego ojcowego podarku — wołał za odjeżdżającym gościem handlarz.

Synek czekał niecierpliwie na tatusia i, widząc, jak bąk podarowany skacze, pląsa, warczy, iskrami strzela i poświstuje, zaklaskał w rączki, śmiejąc się radośnie.

— Dziwny to napis — zauważył ojciec, zwracając się do godnej swej małżonki — A przecież niepodobna otworzyć tej kuli?

— Każ ją prześwietlić promieniami „X" — rzekła z przeświadczeniem matka — zobaczymy, co się w środku kryje i czy wogóle warto się o „to" tak bardzo troszczyć...

Powiedziano, zrobiono, zdjęcie otrzymano: na tle okrągłej obwódki widne było... jedno maleńkie ZIARNKO GORCZYCY.

— To mnie łotr oszukał, za taką moc pieniędzy jedno ziarenko... Peee!

Rodzice osądzili, że nie opłaci się więcej troszczyć tą zabawką. (Że można było się inaczej, niż złotem, wzbogacić, nie przyszło im nawet na myśl). Oddali bąka synkowi, by się nim bawił do woli i do „boli". A na imię chłopcu było „NIEDOWIDO"-SAN („San" znaczy po japońsku „pan").

* * *

...Minął rok, dwa, trzy i więcej. Bogaci zbiednieli, nędzarze się wzbogacili.

Banki sfajt-plajt-łapiały, dzieci zgłupiały.

Przyczyną zaś powszechnej ruiny był ogromny przypływ i nadpływ fałszywych pieniędzy, nieprawdziwych papierów wartościowych, bezwartościowych weksli, podrobionych kluczy (do kas i serc), niesłychanych orzeczeń, bezpodstawnych okólników, podstępnych spraw i



spraweczek i wszelakiego kłamstwa i obłudy. Tak nawet źle było, że rząd (nietylko japoński, ale nawet polski) obiecał bardzo dużą nagrodę dla tego, który potrafiłby wskazać jedno, jedyne ZIARNKO PRAWDY — małe chociażby ziarenko.

Młodzi posiwieli, a starzy zczernieli z rozpaczy i z daremnego szukania, bo łatwo było ogłosić nagrodę, a trudno było znaleźć coś, co przypominałoby PRAWDĘ, choćby z rysów twarzy.

Uczeni wszyscy zgadzali się na jedno, że PRAWDA ukryta być musi w „czemś", co się świeci i, szybko wirując tak błyszczy, że odwraca uwagę błyskotliwemi pozorami od „właściwego" ośrodka. Nawet posiadacz takiej Prawdy, NIE DOWIDZI jej, omamiony zewnętrznym, zabawnym jej wyglądem.

Nie starczyło jednak złotego kruszca i złotego „silnika" na poszukiwanie laboratoryjne i naprawdę naukowe.

Nawet tak bardzo prawdomówne dzienniki japońskie, chińskie, włoskie, polskie i plotkarskie nie miały wielkiego posłuchu ciągłem ogłaszaniem konkursów i łamigłówek (nikt im przecie już tak między Bogiem a prawdą nie wierzył).

Tylko „wyświetlnie" miejskie (kinomanja, chociaż „na gapę", była dalej w modzie), obiecywały z powodzeniem „przezroczystemi" ogłoszeniami miljon dolarów (moneta amerykańska, jako najprawdziwsza, miała jeszcze pewien pokup) za „ZIARNKO prawdy, chociażby GORZKIEJ". Wiedzieli bowiem zamorscy „skarbińscy i „podskarbi", że bez Prawdy niema kredytu, a bez kredytu — pieniędzy, bez pieniędzy zaś...

* * *

Wtedy nasz Bogacz, który z „obszarów" zszedł na dziady, przypomniał sobie wreszcie BĄKA, kręcliwego i dziwnego i, zawoławszy synka, rzekł słodko:

— Mój NIEDOWIDKU-sanie panie kochany, poszukaj na półeczce, a może i w śmietniku owego bączka ślicznego, com ci go ongiś na urodziny podarował.

— Kiedy go już dawno sprzedałem.

!?

— A no, temu, co to dzienniki roznosi; dał mi za niego 2 yeny (powiedzmy ściśle 8 złotych) i 6 ciastek (nie od Fruzińskiego, lecz takich japońskich z fasoli).

— Ale jeżeli czcigodny ojciec sobie życzy, mogę się dowiedzieć, poszukać...

* * *

Roznosiciel, nie czekając wiele, był go odstąpił za nowe lakierki*) młynarzowi. Młynarz — czekoladnikowi. Czekoladnik poskromicielowi lokomotyw. Ostatni zaś — małemu chłopcu, co to w Skierniewicach mleko sprzedaje. Podróżując tak bowiem po szerokim świecie, BĄK Z RĄK DO RĄK dostał się — przez Syberję — z Japonji do Polski. Chłopiec-bułkarz, widząc, że został oszukany, stłukł zabawkę niedaleko zwrotnicy, co widząc maleńka córeczka dróżnika (blondynka z kędzierzawą główką), zaczęła zbierać szkiełka i kryształy i, znalazłszy jedno śliczne, gładkie, słoneczne ZIARECZKO GORCZYCY, posadziła je w swym ogródku, na zagonie, pomiędzy niezapominajkami a bratkami.

W taki to dziwny, niesłychany sposób PRAWDA stała się SKARBEM UBOGICH niewinnych dzieci.

---

*) W tych postępowych czasach Japończycy, nawet biedni, zaczęli zarzucać rodowite stroje.

Na szlakach wielkopolskich

Wrażenia z Targów w Poznaniu i z podróży po Wielkopolsce

Doroczny ewenement, Targi Poznańskie, zwraca nas z szlaków, na których zostawił nas czytelnik. Zdążamy i my do Poznania, choć towar, który sprzedajemy o tyle tylko nadaje się na targi, iż liczna frekwencja publiczności pozwala nam na intensywną propagandę naszych wydawnictw.



Na Targach Poznańskich zwracały między innemi uwagę tak zwane „bamberki" w malowniczych strojach ludowych

Dzięki uprzejmości dyrektora Targów, p. Krzyżankiewicza, uzyskaliśmy dogodne miejsce dla naszych celów, skąd dziesiątkami tysięcy rozdajemy wśród tłumów, zwiedzających nasze druki propagandowe.

Choć Czytelnicy nasi niewątpliwie spotkali się na łamach prasy codziennej ze sprawozdaniami z Targów, imprezę tę uważamy za tak doniosłego znaczenia dla życia gospodarczego Polski, że nie możemy i my pominąć opisu Targów.

Targi Poznańskie, jak zaznaczaliśmy w jednym z naszych poprzednich numerów, dzięki sprężystemu kierownictwu zarządu, skutecznie popieranego przez ojców miasta, zyskały sobie znaczenie równe niemal Targom Lipskim.

Ze wszystkich stron kraju ściągają tu firmy, pragnące nawiązać kontakt zarówno w sprzedaży, jak i zakupnie. Coraz liczniej również reprezentowane są firmy zagraniczne, które niewątpliwie lepiej, niż gdzieindziej, pod pieczołowitą pozostając opieką Targów, mają możność nawiązania stosunków handlowych z Polską.

— Dzień otwarcia naszych Targów jest dniem święta pracy — podkreślił w swej inauguracyjnej mowie p. dyrektor Krzyżankiewicz.

Dwuznacznie wprawdzie brzmieć mogą te słowa w dniu 1 maja, podkreślają one jednak wyłącznie, na czem polega istotne święto narodowe pracy, w imponujący sposób demonstrując dorobek gospodarczy, a zatem i wysiłek pracy kraju, który tak niedawno podźwignął się z niewoli.

I tak tylko rozumieć mogli te słowa ci wszyscy, którzy po uroczystości otwarcia Targów, krążąc wśród licznych stoisk, podziwiać mogli bogactwo zasobów krajowych, dodając z pewnością w duchu, iż jeszcze jedno znaczenie mieć mogą słowa p. Krzyżankiewicza, że w dniu otwarcia VII Targów, święto pracy słusznie celebrować może zarząd Targów, za swe wytrwałe usiłowania.

Wszystkie gałęzie wytwórczości reprezentowane są w obszernych halach i na olbrzymim placu.

Trudno opisać, co bardziej zasługuje na uwagę, każdy wszak znajduje coś interesującego w odpowiednim dziale.

Najbardziej imponująco, nawet w oczach laika, przedstawiać się mogła wystawa maszyn rolniczych, której rozmiary odpowiadają rolniczemu charakterowi kraju.

Na uznanie zasługiwało staranne rozlokowanie eksponatów, w ten sposób, iż, bez przewodnika nawet, łatwo było



Pawilony firm zagranicznych na Targach w Poznaniu





orjentować się wśród mnóstwa wystawców z różnorodnych branż.

Krążą niezliczone tłumy, których oficjalne zestawienie dało imponującą liczbę 300.000 zwiedzających, wśród których, jak to zwykle bywa, nie brak było zwykłej gawiedzi, a jeśli i ta była, tem lepiej, niechby niosła razem z plikami skrzętnie zbieranych prospektów wieść o tym symbolu gospodarczej Polski, z którą bezwiednie się zetknęła.

Zauważyliśmy liczne wycieczki, jak Związku Kółek Rolniczych, Zrzeszenia Kupców Polskich, licznych szkół specjalnych, które z pewnością wyniosły usystematyzowane wrażenie o imponującym całokształcie wystawy.

Z pośród obcych przybyszów na Targi, poza oficjalnymi reprezentantami obcych mocarstw i zbiorowemi wycieczkami z Austrji, Anglji, Czechosłowacji, mi sąsiadami, specjalnie miło było nam skonstatować liczny udział na Targach firm francuskich, które poraz bodaj pierwszy, tak okazale i grupowo wystąpiły w Polsce.

Poza godną najwyższego uznania inicjatywą w tym kierunku oficjalnych reprezentantów francuskich: radcy ambasady, hr. de Gontaut-Biron, wice-konsula, p. Angot, radcy handlowego, p. Kocha i p. Mosnier, sekretarza stałego komitetu Targów, podkreślić należy sprężyste zorganizowanie i prowadzenie spraw francuskiej grupy przez p. M. Pawlotskiego, reprezentanta Targów we Francji.

Zgórą pięćdziesiąt firm francuskich umiejętnie i ze zwykłą elegancją rozmieszczono w Pawilonie Przemysłowym.

Na wstępie przeciągły ryk syren, warczych, i Fournier, słynna ze swych doskonałych trunków.

Jeszcze dalej, interesująca panie firma G. Digonnet z Lyon'u (reprezentacja w Warszawie, Moniuszki 4-a) z bogatym asortymentem materjałów, znakomite firmy z St. Etienne — „A N. Vernay, Carron et Co", fabryka broni i artykułów myśliwskich i „Etablissements Ravat" z bogatym asortymentem rowerów i motocykli. Nawet dyrekcja kolei „Cie des Chemins de Fer du Nord" zapragnęła zareklamować swoje wycieczki pięknie udekorowanymi plakatami turystycznemi w specjalnym standzie.

Szczupłość miejsca nie pozwala nam na obszerniejszy opis tych stoisk.

Wdzięczni jesteśmy rozrywanemu na wszystkie strony p. Pawlotskiemu, iż zechciał udzielić nam rozmowy, w której podkreślił, jak doniosłe znaczenie



Pawilony G. Digonnet z Lyonu „Etabl. Ravat" z St. Etienne



Francji, Jugosławji, Turcji itd., zetknęliśmy się z wycieczką Zjednoczonych Klubów Handlowych Polskich z Chicago.

Wycieczka ta miała szczególniej doniosłe znaczenie, iż znakomicie przyczyniła się do zbliżenia ekonomicznego z naszymi rodakami z za Oceanu, budząc wzajemne zainteresowanie do utrzymania stałego kontaktu, który znajdzie między innemi wyraz swój w udziale naszych ziomków na krajowej wystawie w Poznaniu w 1929 r., a także zachęciło Polonję amerykańską w kierunku inwestycyjnym w imprezach gospodarczych Polski.

Kilka cyfr na zakończenie krótkiego sprawozdania: udzielono za pośrednictwem zarządu wyczerpujących informacyj w kierunku eksportu i importu **390 firmom, eksport kierując do 23 krajów europejskich i 17 krajów pozaeuropejskich; import zaś do 9 krajów europejskich i 1 kraju pozaeuropejskiego.**

*

W chwili, gdy przewlekłe pertraktacje z Niemcami utrudniają nam wznowienie stosunków handlowych z naszykot klaksonów witał przybysza, dziwna symfoniczno-sportowa orkiestra firmy Cicca.

C. I. C. C. A. (Compagnie Industrielle et Commerciale du Cycle et de l'Automobile) w Paryżu, mająca przedstawicielstwo swe w Warszawie, Corefa, ul. Wilcza 53, jest największą wytwórnią akcesorjów samochodowych. Asortyment od najbardziej luksusowych sygnałów — tak zwanego tenora elektrycznego, głośnego na 3 kilometry, ciccaphone'u, z podwójną membraną, warkotliwych jacksonów, grzmi przedziwną symfonją, ogłuszając sąsiadów, statecznych wydawców, Larousse, Grasset, Vigot, Ferenczi, Picard itd., którzy wystawili bogatą kolekcję swych wydawnictw, budząc zainteresowanie, a nawet zachęcając do kupna.

Obok znana chemiczna fabryka Coignet, która obrobiła szereg ciekawych interesów na Targach.

Tam dalej, w pięknym standzie, wyroby firmy Gibbs, a naprzeciwko, oblężone przez żądnych próbek: Félix Potin, imponująca mnogością i różnorodnością znakomitych artykułów spożywbędzie miał ten pierwszy eksperyment dla dalszego rozwoju stosunków pomiędzy krajami, firmy bowiem, które reprezentuje, wyjeżdżają pod doskonałym wrażeniem korzystnie zawartych tranzakcyj.

*

Obok francuskiej grupy zasługuje na uwagę stoisko, w którem zasiada specjalny delegat szwajcarski, p. Brunel, który udziela informacyj na licznie kierowane zapytania nietylko w sprawach turystyki, ale i dotyczących interesów handlowych. Jest to również pierwsza skromna próba rządu szwajcarskiego.

*

Mało kilku dni na szczegółowe zwiedzenie Targów. Na szczęście, każdy poważny interesant umie trafić do tej branży, która go wyłącznie interesuje.

My zaś, pospolici dziennikarze, nawet nie ekonomiści, wychodzimy codziennie coraz bardziej oszołomieni z placu, ale i dumniejsi z tych VII Targów, świadczących o wrastającym postępie gospodarczym w naszem kraju.



W Rzeczypospolitej gości prymas Anglji ks. kardynał Bourne. Na dworcu w stolicy powitali go przedstawiciele władzy i duchowieństwa oraz tłumy publiczności. Stoją od lewej do prawej: szef protokółu dyplomatycznego hr. Przeździecki, naczelny inspektor ruchu inż. Szmidt, ks. biskup polowy Gall, ks. kardynał Bourne i ks. kardynał Kakowski.



Wycieczka Polonji Amerykańskiej, która przybyła w odwiedziny do Polski została przyjęta w dniu 5 maja przez Prezydenta Rzeczypospolitej na Zamku. Audjencja, jak widzimy na ilustracji, nosiła niezmiernie serdeczny charakter.



Młodzież studjuje kraj, zapoznając się z jego pięknem i bogactwami. Oto wycieczka krajoznawcza studentów Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie z b. prezydentem Rzplitej Stanisławem Wojciechowskim.





W dniu św. Stanisława, patrona Polski, w Łowiczu odbyła się tradycyjna uroczysta procesja z udziałem ks. kardynała Bourne'a, ks. kardynała Kakowskiego i wojewody warszawskiego hr. Sołtana.



W dn. 5 maja r. b. we Lwowie bawiła delegacja turecka. Uczestnicy delegacji wraz z prezydjum Izby Handlowej i Przemysłowej oraz dyrekcją Targów Wschodnich sfotografowali się na pamiątkę przed Targami.



Kantoński głównodowodzący Chiang-Kai-Shek owacyjnie był przyjmowany w styczniu przez komunistów w Hankou. Od tego czasu zdążył zmienić przekonania i ufundował nowy rząd w Nankinie.



Polscy lekkoatleci w Rzymie składają wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza.



Feng-Ju-Hsiang, zwany „chrześcijańskim" generałem, były głównodowodzący Hankou.



Marszałek Czang-So-Lin, wielkorządca Mandżurji.



W Bułgarji bawi owacyjnie witana i podejmowana przez społeczeństwo bułgarskie wycieczka młodzieży polskiej. Widzimy jej uczestników, jak



Bez okularów i sentymentalnie z żoną — nikt by nie poznał,



Stanisław Szambelan, prezes Powiatowej Kasy Chorych we Wrześni

Oszołomieni, uciekamy do miasta, by i tu nie zaznać spokoju. Przepełnienie w hotelach, restauracjach i kawiarniach. Tłumy na ulicach, niezwykłe ożywienie ruchu kołowego. Wielki Poznań żyje wzmożonem tempem, jak przystało według tradycji historycznej. Miasto ściąga do swych kas pieniądze, by mądrze inwestować te zyski w coraz dalszą rozbudowę, która będzie gruntem dla Wielkiej Wystawy Krajowej w 1929 roku.

*

Srodze zmęczeni, z uczuciem żalu jednak, że pewnie niejednego nie zauważyliśmy, wyruszamy w dalszą wycieczkę po szlakach Wielkopolski, lecz, o zgrozo, i tu nie sądzono nam zaznać spokoju, wpadamy bowiem w niezwykły na cichej prowincji rozgardjasz z okazji poboru wojskowego, więc wszyscy, którzy nam zwykle udzielić



Burmistrz m. Wrześni p. Sołtysiak oficer rezerwy

mogą więcej czasu, zmobilizowani na całodziennej służbie, tak, że i nam wypada z konieczności dzielić ich losy, by choć kilka słów zamienić.

*

Szamotuły...

Pięknie położone miasto, liczące 7.000 mieszkańców, jest siedzibą władz powiatu, zamieszkałego przez 67.000 ludności, z których 90 proc. stanowią rdzenni Polacy. Powiat liczy poza Szamotułami 4 miasta i 165 gmin i obszarów dworskich. Drogi, jak w większości wypadków, bardzo dobre, nie żałują bowiem samorządy na ich utrzymanie, łożąc 300.000 zł. rocznie na tę pozycję budżetu. Wszędzie znać staranną administrację, która znakomicie przyczynia się do doskonałego utrzymania stanu zdrowotnego ludności. Nic też dziwnego, że w tych warunkach współpraca rozwija się zgodnie i w harmonji dzielnego starosty, p. Bronisława Ruczyńskiego, z wydziałem powiatowym, zwłaszcza, iż p. Ruczyński jest nietyl-



Józef Walczak, dyrektor Powiatowej Kasy Chorych we Wrześni



Piękny budynek, w którym mieści się starostwo miasta Wrześni



Września posiada doskonale utrzymaną szkółkę drzew owocowych

ko doświadczonym administratorem, ale, jako były dziennikarz (b. naczelny redaktor „Pracy“, współredaktor „Kurjera Poznańskiego“ oraz współpracownik licznych organów prasy w Księstwie i na Śląsku) umiał doskonale zbadać stosunki z ludnością, która darzy go wzamian ogólną sympatją. Dowodem tego nastroju był uroczysty obchód rodzinny 25-lecia pożycia małżeńskiego państwa Ruczyńskich, który odbył się tu przed kilkoma dniami, gromadząc liczne delegacje ze wszystkich miejscowości powiatu i okolic, gdzie jubilaci zaskarbili sobie zasłużoną popularność zacnych obywateli kraju.

Odwiedzamy z kolei Powiatową Kasę Chorych.

Liczy 14.921 ubezpieczonych i 26.178 członków, zatrudniając 14 lekarzy, przyczem, co godne jest uwagi, chory ma wolne prawo wyboru lekarza. Przewodniczący zarządu, p. Cezary Matuszewski, wraz z dyrektorem p. Józefem Olejnikiem oprowadzają nas po pięknym budynku, słusznie chlubiąc się każdym szczegółem, który powstał dzięki ich energji i zmysłowi organizacyjnemu. Kasa, jak nas objaśniają gospodarze, jest samowystarczalna; na świadczenia wydaje się 91.3 proc., na koszty administracyjne — 66.5 proc.

*

Udajemy się z kolei do powiatu kościańskiego, jednego z najbogatszych obszarów rolnych w Księstwie.



Pomnik dla bohaterów, poległych w bojach roku 1919 i 1920, na cmentarzu w Trzemesznie

Kościan, miasto schludne i pięknie rozbudowane, liczy 10.000 mieszkańców. Sam powiat liczy 50.000 ludności, z których 97 proc. rdzennych Polaków.

Jeśli powiat posiada nawet własną linję kolejową (normalna, szerokotorowa, prowadząca z Kościana do Gostynia), cóż mówić o stanie dróg, których, jak zwykle, pozazdrościć mogą inne dzielnice kraju! Wrodzona karność i lojalność ludności idzie na rękę wszelkim poczynaniom władzy administracyjnej. Tak nam opisuje podległy mu powiat starosta, p. Adam Narajewski.

Młody, energiczny, posiada długoletnią rutynę w administracji, w której to dziedzinie, po ukończeniu studjów prawniczych, pracuje od 1916 r., karjerę swą rozpocząwszy w Namiestnictwie

Lwowskiem. Rodem z Małopolski, szybko oswoił się z warunkami miejscowemi w Wielkopolsce, dokąd przeniesiony został w 1920 r. do Ministerstwa b. dzielnicy pruskiej, by w 3 lata później otrzymać nominację na starostę w Odolanach, a w styczniu r. b. osiąść w Kościanie. W kwietniu r. b. p. Narajewski nagrodzony został złotym krzyżem zasługi.

W magistracie poznajemy dzielnego obywatela miejscowego p. Marcina Dónaja, zajmującego stanowisko vice-burmistrza.

Rolnik z zawodu p. Dónaj, gospodaruje na 500-morgowym folwarku, jednocześnie prowadząc interesy handlowe w zakresie handlu ziemiopłodami. P. Dónaj jest jedną z najwybitniejszych osobistości w powiecie, i piastuje liczne



Wicenty Dabiński, starosta w Gostyniu



Ratusz w Gostyniu

godności w różnych instytucjach, które jemu, włościańskiemu synowi, wdzięczne za niezmordowaną pracę, w Banku Ludowym, w Spółce Osadniczej, w Banku Kupiectwa Przemysłowego itd. itd., nagradzają powszechnym szacunkiem.

*

Stanowczo mamy pecha. W rozgardjaszu poborowej atmosfery, nieledwo za stołem komisyjnym, odwiedzamy starostę w Gostyniu.

Z burmistrzem, p. Edmundem Sławińskim, pobieżnie zwiedzamy miasto. Aczkolwiek Gostyń nie posiada wodociągów i kanalizacji, stan zdrowotny dzięki wzorowej czystości nie podlega żadnej krytyce. Szkolnictwo rozwinięte — piękne gimnazjum, szkoła powszechna, szkoła rolnicza (w trakcie budowy). Miasto jest dość zasobne. Po-



Ze zjazdu harcerzy: w prezydjum obok wojewody hr. Sołtana wice-burmistrz M. Dónaj.



Obrady w sprawie przysposobienia wojskowego przy czynnym współudziale wice-burmistrza M. Dónaja



Okazały gmach gimnazjum w Kościanie

siada rzeźnię, gazownię, ratusz, 3 szkoły i 15 hkt. ziemi. Stać je też na rozwinięcie intensywnej działalności w dziedzinie projektowanej dalszej rozbudowy. 14 domów jest już dziełem miasta, 3 dalsze są w projekcie, jak również rozszerzenie rzeźni, ufundowanie elektrowni, założenie wodociągów i kanalizacji.

Na razie kończymy swoje wrażenia z lotu ptaka na szlakach wielkopolskich, do których wypadnie powrócić nam niejednokrotnie.



Adam Narajewski, starosta pow. Kościańskiego

TEATR SZTUKA

W pracowni u Zygmunta Szpingiera



Studjum portretowe

Normalnego tego pokoju, w normalnym poznańskim hotelu nie można nazwać pracownią. Jedynie stalugi i ten właściwy cyganerji nieład, tu i ówdzie rozrzucone szkice, jaskrawe plamy płócien na ścianach świadczą, iż jednak to prawda, muszę być u tego Szpingiera, którego znamy z opinji publicznej nie tylko w Polsce, ale również zagranicą, jako wybitnego artystę, którego obrazy podziwialiśmy na wystawie w Poznaniu.

Miły olbrzym, w ultra modnem paryskiego kroju ubraniu, tak samo, jak pokój, w którym mnie przyjmuje, wcale nie wygląda na takiego „z Bożej łaski".

— No bo to wcale nie pracownia — zaczyna z uśmiechem gospodarz, widząc moje zdziwienie. — Jestem tu tylko przejazdem. Stale przecież mieszkam w Paryżu, dokąd za parę dni wyjeżdżam. Tam można pracować. Tu, nic nie robię i pewniebym nie został nigdy artystą, gdybym był nie wyjechał.



Studjum portretowe

— Ot, ma pan moje pierwsze rzeczy, karykatury, które naprędce szkicowałem, gdy, interesując się teatrem, sterczałem za kulisami poznańskiemi, projektując dekoracje. W dekoracjach tych przedewszystkiem starałem się uchwycić syntezę, co pomogło mi natrafić na właściwy ton i... nawet na powodzenie. Ale to wszystko początki. Tam dopiero, gdy opuściłem Poznań i osiadłem w Paryżu, gdy zetknąłem się z mistrzami Renoir'em, Sisley'em i Daumier'em, gdy szczególniej zbliżyłem się do Toulouse Lautrec'a, natrafiłem na tę drogę, z której tymczasem nie schodzę.

Oglądam płótna i szkice, w których jakby przebija dziwne oświetlenie kinkietów, pierwsze wrażenie wizualne artysty, z którem Szpingier zżył się je-



Główka



Z teki Z. Szpingiera: Noc w Paryżu

szcze w teatrze. Ciekawe szkicowanie, w którem pewność ołówka to jakby wyraźna spuścizna po Toulouse Lautrec'u sprawiają wrażenie czegoś niezwykłego, co dać może tylko Paryż i obcowanie z tamtymi.

Tak, pewnie, że gdy chodzi o sztukę, to wciąż jeszcze lepiej w Paryżu...

Jak Polak i Niemiec słuchają muzyki?

Sala koncertowa to królestwo wizyj.

To miejsce, gdzie dusza małomieszczanina demaskuje się, nieskrępowana uciążliwą świadomością, że jest obserwowana. Tu opada z twarzy ostatni wyraz rezerwy, cała fałszywa dekoratywność, „bonhomerja". Instynkt samozachowawczy, nakładający maskę na twarz nawet w najbardziej intymnych sytuacjach, odpływa w sferę słodkiego, rozleniwionego zapomnienia. Z rezygnacją i poddaniem się zezwala ta drobna pozostałość świadomości ukołysać się do snu, przy którym jedynie tylko jeszcze śmierć, zda się, być stanem większej bierności. Niema należytego wyrażenia, brak porównania w jakimkolwiekbądź języku ludzkości, któryby mógł określić tę duchową przestrzeń, wypełnioną mądremi wizjami, spływającemi na nas z lepszych światów.

Dwa narody, dwie rasy miałem możność obserwowania w chwilach takich duchowych ekstaz: germańską i słowiańską, Niemców i Polaków.

Gdy, otrząśnięty na chwilę z muzycznego nastroju, rozglądałem się czasem po niemieckiej sali koncertowej, zimny dreszcz przeszedł mi po ciele. Miałem wrażenie, że jestem w szpitalu. Przypomniałem sobie wówczas śmiałą konkluzję znawcy psychiki niemieckiego miłośnika muzyki, prof. Hans-Heins Stuckenschmidta: „nabrałem niezłomnego przekonania, że społeczność niemiecka musi z czasem moralnie upaść przez swoją muzykę, która, jak wampir, rujnuje wszelką pozostałość jego panowania nad sobą, jego męskość i rozsądek". Istotnie, stosunek przeciętnego Niemca do muzyki jest jakby beznadziejne seksualne poddanie się rozbestwionej i niewytłómaczonej sile, która w swoim wpływie na masy ma określone formy. To wyraźne, dające się łatwo rozpoznać wzruszenie patologiczne niemieckiego słuchacza muzycznego jest dziś już o tyle zwykłem zjawiskiem, że nikogo nie dziwi i nie zwraca niczyjej uwagi.

Jak zatrważające są zewnętrzne symptomy: oczy zamykają się bezsilne, kręgosłup, zda się, nie wytrzymywać ciężaru głowy, tak że musi się opierać na ręce, cały organizm powoli wpada w jakiś postępowy letarg, jakgdyby jakaś magiczna siła wpływała na niewytłómaczone rozpadanie się spoistości mózgu, mięśni i muskułów, które odmawiają posłuszeństwa woli i poddają się głębokiemu, duchowemu omdleniu.

Najważniejsze jest jednak to, że takie oddziaływanie mózgu na duszę Niemca występuje, jako zaraźliwa masowa psychoza, której nikt oprzeć się nie zdoła. Najsilniejsi mężczyźni nie bywają oszczędzani, i całe generacje młodych miłośników muzyki rujnują swoje nerwy przez taki duchowy samogwałt.

Jako przeciwstawienie, usiłowano porównać kiedyś ten stan duchowy z psychicznym nastrojem bywalców sportowego widowiska. Tu tylko umysły wszystkich były naprężone, oczy o żywym blasku, muskuły drgały żywiej. Każdy brał czynny udział w tem, co się działo na boisku. Każdy mózg, każde serce było dyscyplinarnie posłuszne temu wszystkiemu, co dawało optyczne wrażenie. Każdy nerw naprężał się w poczuciu jakiegoś rozkosznego oczekiwania. Żadne marzenia nie były tu dozwolone, gdyż najmniejsza nieuwaga znaczyła lukę i stratę ciągłości w krytycznej obserwacji. Taka publiczność opuszczała boisko nie w stanie duchowego zatrucia sennym transem, lecz z wypoczętym umysłem i gorącem sercem. Zapłodniona została tem, co jej pokazano. Nauczyła się czegoś.

Niemiecki słuchacz muzyczny nie idzie na koncert, aby nauczyć się jakiejś prawdy naturalnej. Muzyka jest dla niego tem, czem opjum dla nałogowca. Nie rozumie prawie nic z tego co grają na estradzie; najwyżej chyba, że X dyryguje, lub Y śpiewa. Jak mokra skórzana rękawiczka, dopasowało się niemieckie życie muzyczne do potrzeb swoich konsumentów.

Prawdą jest, że Niemcy stanowią wyjątkową wielką rodzinę miłośników muzyki. Właściwie jednak nie radość dla tonów sprowadza Niemca do sali koncertowej. Pewne pobudzenie, które tam znajduje, nie idzie ani do głowy, ani do serca. Ono w istocie swojej sięga daleko głębiej. Włoska sala koncertowa jest dla swoich słuchaczów rodzajem areny, stadjonu, na którym uprawiany bywa sport muzyczny. W Niemczech miejsce to zostało zdegradowane do okazji cichego, masowego wynaturzenia.

Przypatrzmy się z kolei polskiemu słuchaczowi-konsumentowi muzyki. Jego cechy i przymioty w każdym kierunku stanowią zdecydowane przeciwstawienie do cech Niemca.

A więc przedewszystkiem, powiedzmy to szczerze, kult i umiłowanie sztuki muzycznej jest w społeczeństwie naszem w wysokim stopniu niepopularne, to znaczy, że poza obywatelami



Autor sztuki „Wolne Miasto“ Konstanty Krumłowski, redaktor Ilustrowanego Kurjera Krakowskiego.

polskimi rasy niesłowiańskiej, tej, której kult dla muzyki jest już dostatecznie wypróbowany, nieliczne warstwy społeczne hołdują tej najcudowniejszej ze sztuk pięknych. Lecz zato konsument Polak, gdy się już oddaje muzyce, czy w roli odtwórcy, czy też jako słuchacz, czyni to w sposób zdrowy. Muzyka trafia przedewszystkiem do jego serca do głowy, porządkuje jego nastroje i zjawiska uczuciowe. Nieliczne są wypadki, gdy w polskiej sali koncertowej spostrzecby się dało słuchacza, pogrążonego w chorobliwy stan letargu, bezwładnie ułożonego w fotelu z podpartą na ręce głową. Zdarzy się czasem, że jakaś wyrośnięta panienka udaje rozmarzoną i pozuje się w sposób plastycznie efektowny. Ale to są wypadki spodaryczne i mają miejsce zazwyczaj... na galerji.

Nasz słuchacz muzyki to niezepsuta konstytucja psychiczna i fizyczna, to zdrowy odbiornik. Gdy już słucha muzyki, to otwiera dla niej całe swoje serce.



Wielkiem powodzeniem cieszy się grany w teatrze im. Słowackiego w Krakowie obraz historyczno-ludowy Konstantego Krumłowskiego p. t. „Wolne Miasto“. Scena na ilustracji przedstawia restauratora Fochta, przygotowującego broń, by połączyć się ze spiskowcami.

Plebiscyt „Famulusa"

Jakich kobiet nie lubią współcześni mężczyźni? Jakich mężczyzn nie lubią współczesne kobiety?

I PO CO MORAŁY?

Naprawiły nam różne damy morałów w „Famulusie", a jednak...

Nic nam to nie pomoże, bo — bądźmy szczerzy — my, mężczyźni, nie lubimy kobiet bez poezji, którą daje im wdzięk i uroda. A jeżeli która umiejętnie ją uzewnętrznia chociażby nawet przez modne karminowanie ust. obciętą czuprynkę czy krótką suknię, to wcale nie jest grzechem, a przeciwnie zaletą, na której nic a nic ani kobieta ani mężczyzna nie traci.

Marjan Duński, Kamińsk.

NIE LUBIĘ GOGUSIOW I „SPORTSMENÓW"...

Nie lubię wylizanych gogusiów, przypominających mniej średniowiecznych paziów. a więcej lokai, nie lubię również sparobczałych sportsmenów o cielęcych mózgach, ponieważ cały rozum wszedł im w mięśnie.

Wiem, że nie ja jedna tylko.

Nie potrafiłabym serca swego oddać ani lalusiowi, wpatrzonemu w siebie, jak narcyz, ani tembardziej zdziczałej istocie, której bohaterstwem jest kopanie piłki nożnej boks lub bieganie prawie na goło po ulicach miasta.

W mężczyźnie obok normalnego zdrowia fizycznego (nie powinien być cherlakiem ani ułomkiem) cenię nadewszystko walory ducha: rozum, wykształcenie, inteligencję, energję życiową i dzielność. Czuję bowiem, iż wsparta o takie męskie ramię, mogę być szczęśliwa i dumna ze swego szczęścia.

Ana Z-ska, Wilno.

MĘŻCZYZNA TO EGOISTA...

Mężczyzna to egoista, myślący tylko o sobie. Czy który z was dał kobiecie siebie tak w całości i niepodzielnie, jak potrafi dać siebie mężczyźnie kobieta. Takiego nie było, niema i nie będzie.

A więc wy, którzy nazywacie siebie panami stworzenia, jesteście raczej jego tyranami, uosobieniem przemocy fizycznej i moralnej.

Czegoż po was spodziewać się może kobieta! Zawodu i rozgoryczenia, że za chleb otrzymała kamień, za miłość oschłość serca i znudzenie, bo, jak motylki, lubicie przefruwać z kwiatka na kwiatek.

Kobieta istnieje dla was dotąd, dopóki się nie znudzi i nie zajmie jej miejsca druga, trzecia, czwarta i tak dalej. **Janina S-ka, Lublin.**

WSPÓŁCZESNEJ KOBIECIE BRAK PRAKTYCZNOŚCI

Zupełnie słusznie twierdzi p. Leśka, zabierając głos pod tytułem „Kobiety, bądźcie odważne" i kończąc swe uwagi słowami: „a będziecie szczęśliwe"...

Bo czyż poddańcza uległość początkowo modzie, a później mężczyźnie nie czyni z niej „pseudo-człowieka?"

Jak może mężczyzna cenić taką kobietę, która fatałaszki przenosi ponad swe domowe szczęście? Kobietę, która chciałaby, aby jej często naiwne i chwilowe zachcianki zaspakajać, nie licząc się z żadnemi zasadami i warunkami?

Niestety, zdarza się to niejednokrotnie...

Współczesnej kobiecie brak praktyczności oraz (trudno, niech mnie już moja narzeczona wypowie za to „memento") wyrozumiałości.

Gorzka to prawda!

C. Gołębiowski, Warszawa.



— Trzydzieści lat temu właśnie z tego biura wyszedłem jako biedny chłopak do posyłek z listem, a dziś...

— Może przyniósł pan odpowiedź?



—Mortus, bracie, wpadliśmy do mieszkania boksera! Czy nie lepiej wiać?..

— Wszystko frajer! Co, nie wiesz, że za mniej niż 25.000 dolarów nie ruszy się z miejsca? Możesz śmiało pakować, nawet nagrody, to będą wędrowne.



JESZCZE O PROPAGANDZIE OŚWIATY

Jedynym jesteśmy chyba krajem, gdzie prostaczkowie zwalczają radjofonję, wojnę wypowiedziawszy zawziętą Bogu ducha winnym radjotom. Anteny, fale w eterze działają podobno na zmianę aury, budząc postrach o zasiewy.

Radjoci, gdyby średniowieczni czarodzieje, skazani są przez ciemne tłumy na tysiączne szykany, na sabotaż mozolnie budowanych aparatów. Jak na kraj, w którym piorunochron mało jest jeszcze rozpowszechniony, gdzie wioski całe płoną od uderzenia gromu, a niezaradni kmiotkowie nie starają się nawet instalować tak prostej aparatury, wcale nieźle.

W każdym razie objaw ten świadczy, iż, jeśli Rosja nawet urzeczywistnia plan szerokiej propagandy za pomocą radja, mało jeszcze zdziałaliśmy w tym kierunku, by ludek wiejski przychylnem okiem spoglądał na niewinne eksperymenty radjotów.

Czy nie należałoby może intensywniej przygotować grunt na prowincji, czyniąc objazd autami ze specjalnie zmontowanemi aparatami, zaopatrzonemi w głośniki i szeregiem odczytów i audycyj przyzwyczaić masy do radja, niezbędnego dziś czynnika kultury. Te same auta mogłyby skutecznie kolportować popularne wydawnictwa

GÓRĄ POZNAŃ

Niejednokrotnie poruszaliśmy sprawę transmisyj opery warszawskiej, co do której wiecznie napotykano trudności. Młoda radjofonja poznańska zawstydziła Warszawę, gród Przemysławowy bowiem łatwo doszedł do porozumienia z artystami i dyrekcją miejscowej opery, nadając nietylko na Polskę, ale i na Europę piękne audycje.

Czy nie wstyd, by inicjatywa tej propagandy poszła nie ze stolicy, która, oczywista, operuje bądź co bądź najlepszym zespołem.

RADJO W SOWDEPJI

Ciekawe są dane statystyczne o rozwoju radjofonji w Sowdepji, gdzie chyba więcej, niż w innym kraju, akcja ta cieszy się intensywnem poparciem rządu. Szeroko zakrojony plan radjofikacji kraju, stale się realizuje przez budowanie coraz nowych stacyj nadawczych. Przystąpiono nawet do budowy stacji na północnym brzegu Nowej Ziemi, jak gdyby chodziło bolszewikom o propagandę komunizmu wśród tych rzadkich śmiałków, którzy eksplorują daleką północ arktyczną. Nie idzie jednak plan ten w parze z zainteresowaniem się mas ludności, gdyż zainstalowano zaledwie 102.141 aparatów kryształkowych, lampowych zaś liczą nie więcej 13,000 przyczem nikła ilość aparatów przypada na wieś, wynosi bowiem nie więcej ponad 8 proc. ogólnej liczby.

RADJO I HYPNOTYZM

Radzimy ostrożność, biorąc słuchawki, wobec publikowanej w tych dniach zapowiedzi Gerald Fitzgibbosa hypnotyzowania do 3 osób naraz przez radjo. Może to być wcale niebezpiecznym eksperymentem w rękach nieuczciwych osobników. pocieszmy się jednak, iż hypnotyzerowie i inni metampsychicy (sami tak przynajmniej mówią o sobie), są ludźmi o najwyższem poziomie moralnem.



„UŚMIECH LOSU"

Wytwórnia Sfinks w Warszawie.

Uczeń Reinhardta i Lubicza, wytrawny reżyser, co nie z jednego pieca chleb jadał po szerokim świecie, poważnego nabierając doświadczenia w sztuce inscenizacji, Ryszard Ordyński, kręci film w Warszawie.

Oto, pogłoski, które z ust do ust sobie podawano podczas całego procesu naświetlania „Uśmiechu Losu", z upragnieniem oczekując premjery.

Stało się przecież, i bywalcy kinowi mieli możność oglądania aż w 3 kinach jednocześnie tego filmu, w którym, co prawda, los słabo się uśmiechnął reżyserowi.

Wszystko widział Ordyński, i Hollywood o tysiącach jupiterów, i kolosalne niemieckie wytwórnie, operujące przepychem środków technicznych i rozporządzające imponującą liczbą wypróbowanych aktorów, taka jest jednak różnica pomiędzy Zachodem, a naszym uboższym aparatem wytwórnianym, jak, powiedzmy, pomiędzy Fordem a Rolls-Roycem.

Słusznie też Ordyński czuł się skrępowany w tych nowych i nieznanych mu warunkach, bał się rozwinąć na szerszą skalę inicjatywę i zrobił w rezultacie, jak na nasze stosunki, dobry film. Jak na nasze stosunki, określenie to jest niezbędne, nie wyszedł bowiem, jak tego oczekiwano, poza miarę przeciętności.

Pomimo serdecznego przyjęcia, jakiego film doznał od publiczności, różnica ta dała się zauważyć po nastroju widzów, nie mniej z pewnością rozczarowanych od samego reżysera.

Zamiarom Ordyńskiego znakomicie sekundowali artyści, pomiędzy którymi prym stanowczo trzymał niezrównany Węgrzyn.

Mistrz operatorstwa w Polsce, Gniazdowski, nie zawiódł nadziei i jeszcze raz stwierdził, że zawsze spodziewać się można po nim nawet więcej, niż na to warunki techniczne pozwalaja.

Naogół film dobry, jeden z najciekawszych z polskiej produkcji.

KOSZT PRODUKCJI FILMU

Na usprawiedliwienie twierdzenia o ubóstwie warunków miejscowych, o którem mowa w poprzednim artykule zacytować możemy cyfry wydatków poniesionych przy naświetlaniu filmu „Metropolis", którego premjera w Berlinie głośnem echem odbiła się w świecie ekranu.

W okresie czasu od d. 22 maja 1925 do 30 października 1926 r. pracowano nad wykonaniem tego filmu 310 dni i 60 nocy, zużywając 620.000 metrów filmu na negatyw, 1,300,000 metrów na pozytyw. Oprócz 8 aktorów, którym powierzono pierwsze role, 750 artystów grało role epizodyczne, 25,000 mężczyzn i 11,000 kobiet było figurantami, wobec czego pensje jedne wyniosły 1.600,000 złotych marek, rekwizyty kostjumowe zaś pochłonęły 200,000 marek.

Przy takich środkach wszak można wykonać film o światowej sławie?



SZALE I PASKI



A więc mundurki.

Tak jakby piękne panie, chcąc jeszcze bardziej podkreślić dążenie do wiecznej młodości—nóżki wszak pokazują do późnej zimy... wieku— postanowiły nosić stroje, które przypominają lata podlotka.

Jednolitość, którą tu nieraz podkreślaliśmy ratują jedynie bogactwem akcesorjów, jak również pełną licencją w noszeniu tych ozdób.

Panie noszą proste bluzeczki, tak głosi nakaz mody, ale zato ubierają je szalem, krótszym, czy dłuższym, zawiązanym z przodu, czy z boku, z małym czy zgoła olbrzymim węzłem; do tego pasek w różnych warjantach, z materjału, czy ze skórki, pojedyńczy, czy podwójny lub nawet potrójny ze zdobnem spięciem.

Tak, czy owak, piękne panie nigdy nie hołdują hasłu oszczędności, co na jednem ujmą — na drugiem dodadzą, gdyby na Salomonie, a nie na jakimś Poiret, lub Lanvin wzorowały się.



RZECZ O ZMARSZCZKACH
II

4. Zmarszczki skutkiem ogólnego obchudzenia

Ogólne chudnięcie bywa z różnych powodów: słabe odżywianie się, choroby żołądka, choroby krwi, nerek, wątroby i z innych przyczyn. Wówczas tłuszcz podskórny znika. Skóra się fatalnie marszczy z początku w tak zwane kurze łapki, dalej w formalne załamki i gotowe zmarszczki. Wiele osób, nie zdających sobie sprawy, ruchami od nosa gwałtownie przesuwają skórę ku uszom w tem przekonaniu, że owe zmarszczki pójdą aż za uszy i tym sposobem ich się pozbędą. Robią to z instynktu własnego, nie wiedząc, że właśnie temi masażami od nosa ku uszom powiększają zmarszczki, gdyż przez to przesuwanie skóra się rozciąga i zmarszczki się powiększają. Masaże w takim stanie winny się wykonywać przeciwnie, od dołu twarzy i od uszów ku skroniom ruchami drżącemi, czyli wibracyjnemi, aby o ile można przesuwać tłuszcz pod skórą do skroni, oraz pelotami szklanemi i lekkiemi faradycznemi masażami. Natłuszczać można skroń mitriną lub lanoliną pół na pół z wazeliną.

W. Klimecki.

Kto wyrzeka na szerzący się w społeczeństwie upadek obyczajów a nie popiera i nie rozpowszechnia zdrowych pism i książek, ten nie przeciwdziała złu.

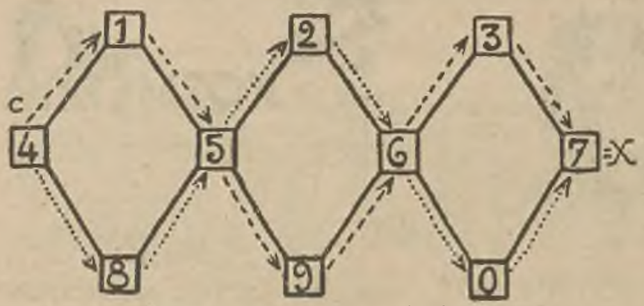


Wiosna w poezji



Wiosna w prozie

ZADANIE LICZBOWE



Oto 10 cyfr w 3 rzędach, które ustawić należy w ten sposób, by w sumie (poczynając od C w kierunku strzałek w obu kierunkach) otrzymać na X jednakową sumę.

ROZWIĄZANIE REBUSA

Gdy niema pałasza, dobry kozik u pasa.

ROZLOSOWANIE NAGRÓD

Nagrody książkowe otrzymali: Alfred Wittersheim z Mławy, K. Królikowski z Wyszkowa, Józef Michalik z Warszawy, Stefan Dubiel z Oświęcimia, E. Tietz z Warszawy.

OD WYDAWNICTWA

Celem ułatwienia wykorzystania reklamy w najodpowiedniejszy sposób utworzyliśmy z dniem dzisiejszym

BEZPŁATNĄ PORADNIĘ REKLAMOWĄ

kierownictwo jej powierzając wytrawnym specjalistom

PORADNIA REKLAMOWA załatwiać będzie wszelkie czynności, wchodzące w zakres różnorodnej reklamy, wszechstronnie projektować i przeprowadzać — — kampanje reklamowe do wszystkich organów prasy światowej — —

Poradnia czynna jest codziennie w godzi. 5 — 7 p.p. w lokalu redakcji „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego — FAMULUS" Miodowa 5, tel. 28-33

Do zapytań kierowanych na drodze pocztowej upraszamy o załączanie znaczków na odpowiedź

Do bieżącego numeru dołączamy dla Prenumeratorów dalszy arkusz dodatku powieściowego

CENA PRENUMERATY:

Miesięcznie	Zł. 1.—
Kwartalnie	„ 3. —
Półrocznie	„ 6. —
Rocznie	„ 12.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa Miodowa 5, tel. 28 33 i 2-96
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p
Redakcja czynna od 10 do 4-tej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca. Redaktor działu propagandy i reklamy **I. K. Librach** przyjmuje od 9-10.
Konto P. K. O. Nr. 14315.

Redaktor i wydawca *Eugenjusz Rafalski*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.

Jak Dyndała, chcąc mieć wiele, tańczył modne „youkelele“

Historja 7-a



*Dyndała, że był w smokingu
wnet myśl powziął o dancingu...
— Grosza trochę zrobić aby,
obtańczyć sprobuję baby,
z tego także wyżyć można,
każdy trud i praca zbożna...*



*Serc pogromca przy nim niczem,
kiedy stanął przed obliczem
gospodarza, co zachwycon,
rozchmurzył swe groźne lico —
pomówili, a po chwili
od wagi się ugodzili...*



*Choć odważny był Dyndała,
ziemia pod nim aż zadrżała...
Gdy przetrzyma te męczarnie,
górę złota chyba zgarnie,
bo kilo conajmniej dwieście
przyczaiło się w niewieście...*



*— Czy można... — Ależ, o panie,
dla mnie rozkosz tańcowanie...
I uśmiech jej twarz anieli,
a męża aż djabli wzięli —
zazdrosny był prowincyjał
o najdroższy swój specyjał...*



*Patrzył, patrzyl długo stary...
— To nie taniec, lary-fary,
nie oszukasz, co? tak z bliska?...
i pioruny z oczu ciska.
Gdy zaczęli „youkele“:
— Nie wytrzymam, teraz zdzielę!*



*Pięścią mocno wymierzoną
rozdzielił go ze swą żoną
i w przystępie strasznej złości
zmiażdżyłby Dyndale kości,
gdyby nie zacnej podwiki
lament, spazmy i okrzyki...*

